

Nie jestem kolekcjonerem. Mam niewiele płyt. Oczywiście, nadal pamiętam o tych, które mi w mojej karierze pomogły... A było tak, że zawsze interesowałem się muzyką, która wiązała się z jakąś osobowością... Na początku to byli naturalnie gitarzyści albo zespoły gitarowe. Nie będę ukrywał, że też grupa... z czerwonymi gitarami (śmiech). Czyli **The Shadows!** Oni chyba mieli największy wpływ na mnie, kiedy zaczynałem. Do dziś pamiętam jak *Apacza* i *Fajkę pokoju* (*Apache* i *Pipe Of Peace* – przyp. wk) grałem w piwnicy domu przy Hibnera, którego zresztą już dawno nie ma... Jak poznałem The Shadows? Wtedy słuchałem właściwie tylko radia, może szczerkowo jakichś pocztówek dźwiękowych. Mój dom rodzinny żył muzyką, ale taką imprezową, imieninową... Moja mama marzyła, żebym grał na akordeonie i faktycznie miałem akordeon kupiony przez rodziców, a gdy chodziłem do podstawówki, to równolegle uczęszczałem do podstawowej szkoły muzycznej. Ale gdy zobaczyłem gitarę – rzuciłem ten akordeon i tak to wszystko się zaczęło. Jestem z rocznika 51, moje pierwsze zetknięcie z „wiosłem”, nastąpiło w początku lat sześćdziesiątych. Raczej musiałem trafić na Shadowsów... Oczywiście wtedy nie byłem w pełni świadom, jakie mogą być brzmienia gitarowe... A dzisiaj mogę powiedzieć, że był to dźwięk nie do powtórzenia. Może Ray Vaughan się do niego później zbliżył, może Jimi Hendrix, może – na krótko – Mark Knopfler. I teraz też wiem, jak to było narywane: na wzmacniaczach Vox, na prostych kamerach pogłosowych i z użyciem naturalnego pogłosu, jaki daje hala. W tamtych czasach to, co potrafił zagrać Hank Marvin na gitarze było dla mnie po prostu czymś niepojętym... Byłem też zafascynowany Shadowsami z Cliffem Richardem. Do Polski dotarły dwa filmy z nimi. Pamiętam, że jeden nosił tytuł *Chcemy się bawić*.

A potem przyszli **Beatles**. Z tamtym okresem kojarzą mi się spotkania na ulicy Ogrodowej. W piwnicy jednego z bloków urządzaliśmy – chyba pierwsze w Polsce – prywatne beat session (śmiech). Wymienialiśmy wtedy swoje spostrzeżenia. Nie było wówczas kaset, ja nawet nie miałem jeszcze gramofonu. Rzecz polegała na tym, żeby dokładnie zapamiętać to, co się usłyszało. Człowiek musiał być na tyle wrażliwy i szybki, by po drugim czy trzecim wysłuchaniu jakiegoś numeru potrafił zanucić i odszukać chwyt. I co jakiś czas spotykaliśmy się, mówiliśmy sobie, jak dany utwór zagrać. Były to lata, gdy co chwila wyskakiwały jakieś cenne rzeczy. Przecież u Beatlesów – co singel, to był hiciec niesamowity. I trwała też u nich taka progresja w kierunku „czegoś innego”... Uważam, że przeżywali wtedy niesamowity rozwój. Jeden z nich imponował mi wyjątkowo swoim kunsztem technicznym i całą tą otoczką, którą mogłem zobaczyć na filmach *A Hard Day's Night* i *Help!*: George Harrison... Bo doceniałem to, co robili McCartney i Lennon, ale to właśnie Harrison był dla mnie gitarowym guru. Grał bardzo pięknie ułożone solówki. Zawsze stał z boku, taki lekko przygarbiony, z gitarą wysoko, niemal gdzieś pod brodą, i wypuszczał spod palców te swoje perełki... Z albumów The Beatles wyróżniłbym *Sergeant Pepper's Lonely Hearts Club Band*. Był to longplay chyba najbardziej kolorowy, najbardziej zróżnicowany. Może dlatego, że było tam najwięcej haju (śmiech). Nie mam dzisiaj tej płyty, ale w tamtych latach miałem własną. Innych longplayów Beatlesów słuchałem u znajomych – byłem bardzo biednym młodym człowiekiem, nie było mnie stać na płyty... Na pewno wówczas miałem w swoich rękach



Fot. Universal Polska

*A Hard Day's Night* i *Help!*. Co mogę o nich dziś powiedzieć? Te wcześniejsze od *Sierżanta* albumy były bardzo wyrównane...

Nigdy nie słuchałem Beatlesów na okrągło. Bo – jak już mówiłem – cały czas działały się też inne wspaniałe rzeczy. Rozwój był niesamowity, wszystko szybko się zmieniało. Oczywiście starałem się kontrolować to, co się działo, i dlatego pojawił się u mnie **John Mayall**. Pojawił się też **Yardbirds** z **Jeffem Beckiem**... Chyba jednak mayallowscy **Bluesbreakers** z **Claptonem** spowodowali największy przełom. Dzięki nim zacząłem lubić te elementy bluesa, to coś „bardziej undergroundowego”. Poza tym wtedy zacząłem lepiej grać – Beatlesi mi już po prostu nie starczali... Do dziś Erica Claptona najbardziej cenię za to wydarzenie z Mayallem. Prawdę mówiąc, z **Creamem** to też był wówczas amok, kompozycje były ciekawe, ale dziś wymieniałbym tylko kilka utworów:

# Dariusz Kozakiewicz

## (PERFECT)

*Sunshine Of Your Love*, *White Room* i *Badge* (chyba najlepszy z tej trójki). A może i cały album *Wheels Of Fire*? Clapton był wtedy „najbrudniejszy” ze znanych gitarzystów – miał piękne, a równocześnie przybrudzone brzmienie, w dodatku świetnie grał na wah wah. Z początku nawet nie zdawałem sobie sprawy, że śpiewa... Dzisiaj już nawet bardziej cenię go za śpiew – robi to bardzo pięknie. Ale też nadal jest doskonałym gitarzystą bluesowym... Jak dotarłem do **Bluesbrakers**? Byłem sąsiadem **Bogdana Olewicza** i **Andrzeja Mogielnickiego**, przy których zresztą płał się **Zbyszek Holdys**... Mieli oni – szczególnie Olewicz – kontakt z ludźmi, którzy mogli dostarczyć nowe płyty... Korzystałem z tego, dzięki Olewiczowi poznałem **Mayalla**, a potem **Ten Years After**.

Muszę teraz powiedzieć o płycie **Ten Years After**, *Undead*... *Summertime* znalazłem wcześniej z innych wykonań, ale oni zegrali to tak, że umarłem. To był album live, więc można było stwierdzić, że **Alvin Lee** miał zabójczą technikę. Nie będę ukrywał, że mi to wtedy imponowało. Ale liczył się też dla mnie ogólny wymiar tej kapeli.

Oczywiście byłem w tamtych latach pod wrażeniem **Jimiego Hendrixa**. I dzisiaj też je-

stem (śmiech). Do pewnego momentu uważałem, że nie był wirtuozem gitary, bo miałem na uwadze tę jego niezbyt precyzyjną grę. Natomiast później zmieniłem zdanie. Najważniejsza jest u niego ta energia bijąca ze sceny. I porównałbym Hendrixa do malarza, który wyprzedzając swoją epokę, stworzył coś niepowtarzalnego. Słuchać w jego grze rzeczy, których nie ma u „normalnych wirtuozów”. To znaczy – miłość, śmierć, naloty bombowe... Do tego miał rewelacyjne pomysły techniczne: miał swoje patenty, pozwalające mu to wszystko z gitary wydobyć. Trzeba tu również powiedzieć o jego kompozycjach, o jego dość nietypowej harmonii... Był oryginalny już, gdy chodziło o sposób trzymania gryfu: miał długie palce, jedna dłoń wystarczała mu do tego, do czego inni gitarzyści potrzebują dwóch... Krótko mówiąc: technika była, ale zupełnie inna... I nie było to błyskotliwe w tym sensie, że cholernie szybko. Chociaż... miejscami na tych bootlegowych płytach można trafić na takie rzeczy... Przyznam się, że w momencie, gdy usłyszałem Hendrixa, mój dotychczasowy świat muzyczny zawalił się. Właściwie wystarczyło *Hey Joe*... Wspaniały był longplay *Are You Experienced?* A jeśli chcesz wiedzieć,

**Ja słucham, i to dużo. Przetrawiam to i jeśli mi odpowiadają – wtedy gram. Ale żebym miał to określić dokładnie – jak, skąd i dlaczego – nie potrafię. Mimo że jestem zwolennikiem precyzji – mówił Dariusz Kozakiewicz latem 1975 roku, w wywiadzie dla miesięcznika „Jazz”. Był wówczas pierwszoplanową postacią hardrockowej grupy **Test**, która miała swe miejsce w rodzimej czółówce. Szerszej publiczności dał się poznać już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, jako gitarzysta warszawskich zespołów **Fatum** i **Pięciu**. A fundamentem jego – całkowicie zasłużonej – gitarowej sławy stała się krótkotrwała współpraca z grupą **Breakout** i solówki, utrwalone na jej płycie *Blues*, z 1971 roku. Po wielu latach klubowego, czysto zarobkowego grania i „sessionmanowania” przypomniał o sobie fanom rocka, zostając muzykiem **Perfectu** (jesienią 1997 roku). Miał duży wkład w najnowszy album tego zespołu, *Śmigło* (jako kompozytor i współproducent).**

które płyty Hendrixa uważam za najlepsze – będą to *Electric Ladyland* i *Band Of Gypsies*. Ten pierwszy album ze względu na te wszystkie piękne rzeczy, ten „nowy wymiar”. A *Band Of Gypsies* to jedna z najlepszych płyt koncertowych, jakie kiedykolwiek powstały...

Naturalnie nadal słuchałem wszystkiego, co było dookoła. Słuchałem też *Deep Purple* i Ritchiego Blackmore'a. Ale między Blackmore'em a Hendrixem była przepaść... Dlaczego z Testem nagrałem *Smoke On The Water*? Bo po prostu grało się ten numer na koncertach, w klubach...

**Led Zeppelin?** Słuchałem, ale nie z powodu Jimmy'ego Page'a. W tym zespole uwielbiałem Johna Bonhama i cenilem Roberta Planta. Jeśli chodzi o ich płyty, to lubilem „trójkę”, a później już niezbyt dobrze rozumiałem, co chcieli przekazać...

Powinienem też tu powiedzieć o **Floydach**. Z ich płyt wybrałbym – nie będę oryginalny – *Dark Side*... Podobał mi się tam Gilmour i ta przestrzeń muzyczna.

Uwielbiam **Gaucha Steely Dan**. Może to nie najważniejszy ich album... ale ten akurat mam (śmiech). W Steely Dan zawsze mi się podobała ta przepiękna harmonia i rytmika, wspaniale też były wokale.

Pracując nad głębszą muzą – blues, rhythm'n'blues, a potem nawet takie cięższe brzmiące rzeczy – nie przestawałem szanować normalnych, prostych melodii. I na przykład **Carlos Santana** jest w tej dziedzinie dla mnie wzorem: weźmy *Europe* czy inne ballady. Na jego najnowszej płycie, *Supernatural*, jest piękny numer instrumentalny, *El Farol*. A w ogóle to chyba najlepsza płyta Santany, jaką słyszałem... Ale muszę tu zaznaczyć: Santana nigdy nie był dla mnie wzorem gitarzysty.

Dla mnie bardzo ważny był (i jest) **Jeff Beck**. Jest on najbliżej Hendrixa, jeśli chodzi o sposób traktowania muzyki. Cechuje go podobna swoboda. Szczególnie lubię jego pierwszą płytę z Janem Hammerem, *Wired. Guitar Workshop* też jest w porządku. A jego ostatni album – *Who Else!* – również okazał się wspaniały... Gra Becka nadal jest bardzo charakterystyczna. Wspaniale są te jego legata i tryle. Przyznam, że nie słyszę tego od lat u innych gitarzystów... Brakowało mi tego u Vaia, u Satrianiego, także u jazzrockowców, których też zaliczyłem w mojej turystyce muzycznej. Bo lata osiemdziesiąte były dla mnie już takie pustawe, jeśli chodzi o rock. Może tylko coś się działo w muzyce metalowej, tam był ten progres. Cenilem niektóre rzeczy **Motley Crue** (Metallica już trochę mniej mi przypadła do gustu...). Lata osiemdziesiąte to okres mojej fascynacji muzyką jazzrockową. **John Scofield, Mike Stern, Pat Metheny**. Oczywiście doszły do tego płyty **Weather Report** i cały **Miles Davis** z tego okresu, taki

trochę rockowy. To są bardzo znaczące rzeczy. Ale po takich wyprawach zawsze wracam do źródeł. Jak sobie posłucham **Muddy'ego Watersa** – pomaga mi to być bardziej ludzkim (śmiech).

A z lat dziewięćdziesiątych muszę wyróżnić **Rage Against The Machine**. Gdy pierwszy raz ich usłyszałem – chyba w MTV – nie miałem pojęcia, co to za grupa. Zwróciłem na nich uwagę, bo był to genialny miks czegoś nowego (ten krzyżący klient i ten gitarzysta, który dobił mnie brzmieniem) ze starymi rzeczami, w rodzaju hendriksowsko-zeppelinowego riffu... Gdy posłuchałem całej ich pierwszej płyty, stwierdziłem, że powstało coś, co jest proste, a zarazem przelomowe. Druga ich płyta... już nie była tak dobra. Musieli mieć cholerne obciążenie, przygotowując ją – przecież po tej pierwszej świat właściwie ukląkł przed nimi... I rozumiem, że nie do końca udało im się to, co sobie zamierzeli.

Grunge? Oczywiście **Nirvana, Nevermind**. **Pearl Jam** – już niekoniecznie. A tak najbardziej – **Soundgarden!** Przede wszystkim osobowość gitarzysty i wokalisty, Chrisa Cornella, zadecydowała o tym, że była to dla mnie najlepsza z grunge'owych kapeli. Bardzo też podobało mi się ich brzmienie i kompozycje: potrafili zaproponować coś naprawdę nowego. Z ich płyt wybrałbym *Superunknown*, tam osiągnęli najwięcej.

Nowości? **Steve Vai**, niestety, zawiódł mnie płytą *The Ultra Zone*. Pierwszy numer jest piękny, klimaty orientalne, ale później... On oczywiście nadal jest bardzo charakterystyczny, ale mnie już to nie ciekawi. A przed laty Vaia słuchałem bardzo uważnie. Na przykład *Passion And Warfare* to była wspaniała płyta. Bardzo odkrywczą – gitarowo i kompozytorsko... A z tych nowszych spraw chętnie słucham **Massive Attack**. Słucham też **PJ. Harvey**. Dlaczego mi się podoba? Ma charyzmę dziewczyna i taki bardzo specyficzny sposób śpiewania. Ważne, że to, co robi, ma głębię. Ona naprawdę jest artystką. **Sonic Youth** również w perwnym momencie zrobiło na mnie wrażenie. Taki początek komercyjno-transowych historii, ważnych dla rocka...

Muszę też powiedzieć o **Prodigy**, którego dużo słuchałem. Nawet wybrałem się na ich koncert do Spodka i byłem rozczarowany, że przyszło tak mało ludzi. *Music For The Jilted Generation* to superalbum. Generalnie rytm jest jedną z najważniejszych rzeczy w muzyce, a tu mamy genialne połączenie rytmu z takim gadulstwem – nie wiem, czy to można rapem nazwać? W ogóle za imponowali mi rytmiką i niektórymi, ciekawymi brzmieniami... Powiem ci, że w tym przypadku elektronika mnie nie brzydzi, bo całość ma odpowiedni drive...

Rozmawiał:  
**WIESŁAW KRÓLIKOWSKI**